

Otrzymali stamtąd polecenie, że mają się nie przejmować stanem zdrowia więźniów. Chcieli nas wszystkich przydzielić do wykonania jakiejś specjalnej pracy. I znowu pozwolono mi żyć.

BERLIN

Kazano nam się ubrać, a potem zabrano na stację i zapędzono do wagonów pasażerskich. Strażnicy traktowali nas dobrze. Starali się, żebyśmy nie osłabli jeszcze bardziej i dawali nam odpowiednie porcje. Z obawą wybiegaliśmy myślami w przyszłość. Zastanawialiśmy się, do jakiej pracy nas przydzielono. Jednocześnie cieszyliśmy się, że udało nam się wyrwać z piekła Birkenau.

Po trzydziestu godzinach podróży przybyliśmy na dworzec główny w Berlinie. Strażnicy kazali nam czekać na peronie. Otaczający nas ludzie zdawali się nami interesować. Wielu patrzyło na nas ze współczuciem w oczach.

Zaprowadzono nas na stację kolei podziemnej, skąd mieliśmy wyruszyć do Oranienburga. Gdy czekaliśmy na pociąg, więzień z naszego transportu źle się poczuł. Był to rodowity berlińczyk, w jednej czwartej Żyd, były członek Hitlerjugend. Chciał załatwić potrzebę naturalną, ale wachta nie pozwoliła mu oddzielić się od grupy. Wypróżnił się więc na samym środku zatłoczonego berlińskiego dworca.

Rozdział 10

W obozach koncentracyjnych Sachsenhausen, Mauthausen i Schlier

SACHSENHAUSEN

Podróż z Berlina do Oranienburga zajęła mniej niż godzinę. Ze stacji pognano nas do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Przez kolejne trzy wysokie bramy weszliśmy na podwórzec. Nasze pierwsze wrażenia były lepsze niż z jakiegokolwiek obozu, który dotychczas widzieliśmy. Kazano nam ustawić się twarzą do muru dużego budynku. Była to siedziba komendanta obozu. Staliśmy tak przez kilka godzin. Potem zaprowadzono nas do dobrze wyposażonych łazni. Obsługa zachowywała się po ludzku, zupełnie nie przypominało to Stutthofu czy Auschwitz. Czuliśmy, że w tym obozie bycie człowiekiem cokolwiek znaczy. Po umyciu się zabrano nas do biura w celu rejestracji.

Pracowali tam Francuzi. Byli mili i uprzejmi. Jeden z nich wspomniał, że w Sachsenhausen są dwa żydowskie komanda. Jedno składa się z 40 zegarmistrzów, a drugie z drukarzy, ale są oni zamknięci osobno i odizolowani od innych więźniów w obozie. Zapewniono nas, że warunki są tu lepsze niż w innych obozach i że dają dosyć jedzenia.

Informacja o tym, że drukarze byli cały czas zamknięci i że mieliśmy do nich dołączyć, zakłóciła tę odrobinę radości, jaką do tej pory odczuwaliśmy.

Przydzielono nam blokowego, Niemca, który od ośmiu lat przebywał w obozie koncentracyjnym za działalność komunistyczną. Zaprowadził nas do boku 18, który znajdował się obok bloku 19, w którym mieliśmy pracować. Przed rozpoczęciem pracy mieliśmy przez trzy tygodnie podlegać kwarantannie, na wypadek gdybyśmy przywieźli ze sobą jakieś choroby.

PIERWSZE SPOTKANIE Z FAŁSZERZAMI

Druga część bloku 18, gdzie przechodziliśmy kwarantannę, była remontowana przez mieszkańców bloku 19. Przybyli już jakiś czas temu i wykonywali swoją pracę w ścisłej tajemnicy. Cały czas pilnowano, żeby się do nas nie odzywali.

Następnego dnia ujrzałem, jak do bloku 18 wchodzi mój przyjaciel Mojsze Kozak. Dobrze mu się przyjrzałem i nie mogło być mowy o pomyłce. Wykrzyknąłem: „Mojszke, Mojszke!”, ale w ogóle nie zareagował i wybiegł z budynku. Zastanawiałem się, czy przypadkiem się nie pomyliłem i czy to w ogóle był Mojszke. Wiedziałem, że kilka miesięcy przed likwidacją getta przysłano tu 6 białostockich Żydów. Ich rodziny otrzymywały od nich pocztę. Zastanawiałem się, dlaczego Mojszke mnie zignorował, dlaczego zabrania mu się rozmawiać z kimś, z kim i tak za parę dni będzie razem pracował.

Następnego ranka znowu go ujrzałem, tym razem z bliska. Nie było wątpliwości, że to on. Podbiegłem do niego i wyciągnąłem rękę na przywitanie: „Jak się masz?”. A on ponownie odwrócił się i uciekł. Tym razem naprawdę mnie to dotknęło. Dlaczego Mojszke nie mógł

odpowiedzieć na tak nic nieznaczące pytanie? Później dowiedziałem się, że w komandzie drukarzy największym przestępstwem było rozmawianie z kimś z innego komanda.

Parę dni później obaj bracia Kozakowie – Herszke, ojciec Nachuma, najlepszego przyjaciela mojego syna, i Mojszke – weszli do umywalni, w której właśnie stałem. Udało im się wymknąć na chwilę strażnikom pod pretekstem umycia rąk. Odbyliśmy krótką, ale serdeczną rozmowę. Poprosiłem ich o coś do jedzenia, ponieważ wciąż byłem wygłodzony.

Następnego ranka dostałem trochę chleba i paczkę niskogatunkowego tytoniu. Podzieliłem się chlebem z moimi najbliższymi towarzyszami. Zrobiłem sobie tym wrogów pośród innych więźniów, ponieważ każdy w naszym bloku głodował i kawałek chleba był czymś wyjątkowo pożądanym. Kiedy nikt z zewnątrz nie patrzył, rozdałem trzy czwarte tytoniu całej grupie, a jedną ćwiartkę zachowałem sobie.

Z niecierpliwością czekaliśmy na koniec naszej trzytygodniowej kwarantanny. Chcieliśmy już zacząć naszą tajną pracę, niezależnie od tego, jak złe byłyby warunki pracy. Chcieliśmy pracować, bo chcieliśmy jeść. Tak właśnie rozumują głodni ludzie. Ludzie umierający z głodu, nawet o wysokim poziomie kultury, mogą odstawić na bok cały swój humanizm i walczyć o jedzenie jak dzikie zwierzęta.

W czasie kwarantanny trzech z nas dostało tyfusu, z czego jeden zmarł. Kwarantanna została wydłużona do siedmiu tygodni. Nasi towarzysze z bloku 19 pomagali nam w tym trudnym czasie, dostarczając co jakiś czas dodatkowe porcje jedzenia. Wzmocniło nas to fizycznie, ale jeszcze bardziej liczyły się związane z tym uczucia radości i wdzięczności. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuliśmy się sami na tym świecie.

BLOK 19

W czasie kwarantanny odwiedził nas kilka razy Sturmbannführer Bernhard Krüger, który nas tutaj sprowadził – szef całego przedsięwzięcia. Był to przebiegły intrygant z uśmiechem przylepionym do ust, który był w tajnej służbie od czasów kajzera Wilhelma. Nie wydawało się, że nie lubi Żydów bądź jest do nich wrogo nastawiony. Obiecał nas wspomóc od czasu do czasu, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że nie możemy polegać na jego słowie. Pocieszył nas, mówiąc, że kiedy zakończy się kwarantanna i zaczniemy pracę, odzyskamy pełnię sił w ciągu sześciu do ośmiu tygodni.

W końcu przystosowaliśmy się do życia w warunkach kwarantanny. Pogodziliśmy się nawet z marnym pożywieniem. Zaczęła nas teraz martwić perspektywa zupełnego odosobnienia. Zaczęliśmy nawet żywić nadzieję, że kwarantanna ponownie zostanie wydłużona, ponieważ mieliśmy więcej swobody niż mieszkańcy bloku 19.

Ale po siedmiu tygodniach kwarantanna się skończyła i przeniesiono nas do bloku 19. Obie grupy przywitały się serdecznie. Wspaniale było znowu spotkać znajomych Żydów z Białegostoku: Jechiela Placa, braci Herszla i Mojszkiego Kozaków, Lejba Zyberskiego, Ajzaka Sukienika i Nachuma Zakrzewskiego.

Kilka godzin później nadszedł Sturmbannführer Krüger i stłoczono nas jako nowo przybyłych w dużej pracowni celem wysłuchania jego przemówienia. „Przybyliście tutaj do wykonania wyjątkowo poufnego zajęcia. Jesteśmy w stanie wojny i wszelkie metody są w związku z tym dozwolone. Waszym zadaniem będzie wyrób fałszywych funtów szterlingów oraz różnych dokumentów. Musi to być robione z wielką pilnością i starannością. Surowo zabrania się kontaktów i rozmów z kimkolwiek spoza waszego komanda. Wasza praca jest tajna i musi pozostać tajemnicą.

Jeżeli ją ujawnicie, zostaniecie potraktowani z całą surowością. Myślę, że wiecie, co mam na myśli. Każdy z was jest odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale za całą grupę. Wasze przeznaczenie jest w waszych własnych rękach. Tak długo, jak wasza praca będzie miała odpowiednią jakość, będę was chronił. A dopóki jesteście pod moją ochroną, waszemu życiu nic nie zagraża”.

Przemówienie Krügera zrobiło na nas ogromne wrażenie. Zrozumieliśmy charakter naszej pracy i chcąc nie chcąc pogodziliśmy się z faktem naszego odosobnienia.

WYTWÓRNIA FAŁSZYWYCH PIENIĘDZY

Państwa mogą z łatwością fałszować pieniądze i dokumenty, ponieważ mają do dyspozycji wszelkie potrzebne zasoby. Ich rządy nie mają trudności z nabyciem maszyn, papieru, farby drukarskiej czy zatrudnieniem dowolnej liczby wykwalifikowanych robotników.

Fałszowanie waluty innego państwa zawsze uważane było za poważne naruszenie prawa międzynarodowego, ale w czasie II wojny światowej walczące przeciwko sobie kraje miały dla siebie niewiele szacunku i posługiwały się fałszerstwem według własnego uznania.

Wytwórnia fałszywych pieniędzy i dokumentów działała w dwóch blokach na tyłach obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Bloki te były szczelnie otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego, również od góry! Były poza zasięgiem kogokolwiek z zewnątrz, nie wyłączając komendanta obozu. Wstęp do środka miało tylko 18 agentów Sicherheitsdienst. Wewnątrz bloku pracowali jedynie Żydzi. Stanowili oni najlepszą gwarancją dochowania tajemnicy, ponieważ można się ich było łatwo pozbyć. Po zakończeniu tego procederu Żydów zamierzano wymordować, aby nie pozostali przy życiu żadni świadkowie.

W komandzie fałszerzy było 140 Żydów. Przywieziono ich tu z różnych obozów koncentracyjnych i gett. Największą grupę stanowili Żydzi polscy, ale byli też Żydzi z Niemiec, Czechosłowacji, Węgier, Francji, Belgii, Holandii, Norwegii i Danii, a nawet dwóch Żydów rosyjskich – jeńców wojennych.

Jednym ze 140 Żydów był znany niemiecki artysta malarz Peter Hirsch, który Żydem był tylko w połowie. Przed wojną papież zamówił u Hirscha wykonanie ważnego malowidła w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Po powrocie do domu był wychwalany przez ministra propagandy dr. Josepha Goebbelsa, zrobiono im nawet wspólną fotografię. Ale po wybuchu wojny Hirscha oskarżono o „Rassenschande” i uwięziono w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. W skład naszego komanda wchodził sławny fotograficy, pierwszorzędni graficy, doskonali drukarze, introligatorzy, elektrycy, inżynierowie chemicy, specjaliści od papieru, księgowi i dwóch lekarzy. Eksperci ci produkowali fałszywe pieniądze, zawiadywali biurem i prowadzili rachunki.

Jedynym zajęciem 18 agentów Sicherheitsdienst było utrzymanie wszystkiego w tajemnicy. Byli tam, żeby nie dopuścić do naszych kontaktów z innymi ludźmi z obozu. Nie nadzorowali pracy jako takiej. Za wszystko odpowiedzialność ponosili żydowscy Vorarbeiterzy. Od tego zależało ich życie.

Zespół roboczy podzielony był na następujące grupy: graficy, drukarze, artyści malarze, fotograficy, powielacze, introligatorzy, sortowacze, a wśród nich ci, którzy układali banknoty według nominałów, i ci, którzy je postarzali.

Dostarczano nam zamknięte skrzynie po 100 000 i 150 000 arkuszy papieru. Na papier nanoszono odpowiednie znaki wodne. Z jednego arkusza papieru wykonywaliśmy 8 banknotów. Drukowaliśmy różne nominały:

5-, 10-, 20- i 50-funtowe. Z każdej skrzyni papieru wytwarzaliśmy 10 000 000 funtów.

Zespół grafików przygotowywał matryce i umieszczał je w maszynach drukarskich. Maszyny miały możliwość druku 2000 banknotów na godzinę, ale zmniejszyliśmy ją na nasze potrzeby do 500. Pozwalało to dwóm drukarzom stale stać przy maszynie i nieustannie sprawdzać jakość produkcji.

Każdy banknot był przepuszczany przez maszynę trzykrotnie. Za pierwszym razem nanoszono lekki nadruk, za kolejnym przepustem był on pogrubiany, a za trzecim razem dodawano numery seryjne.

W Anglii arkusze z nadrukowanymi banknotami były rozdzielane ręcznie, a nie przy użyciu maszyny. Kazano nam stosować tę samą technikę. Po każdym nadruku arkusze przez trzy dni suszyły się na specjalnych wieszakach. Po ostatnim nadruku arkusze dostarczano specjalnemu zespołowi, który rozcinał je na ćwiartki. Ćwiartka z dwoma banknotami była rozcinana nożem na pojedyncze banknoty. Ponieważ podstawowe znaczenie miało to, żeby banknoty wyglądały na używane, wkładaliśmy je do ręcznej prasy i składaliśmy po wielokroć, aż wyglądały jak prawdziwe banknoty angielskie. Pieniądze były drukowane na podstawie oryginalnych matryc Banku Anglii, które w jakiś sposób zdołał zdobyć niemiecki wywiad.

Kiedy banknoty uzyskiwały w końcu pożądaną wygląd, były sortowane według kolejności ich numerów. Wysyłane były wówczas do magazynu pieniędzy, a stamtąd Vorarbeiter przekazywał je do sprawdzenia.

Kontrolę przeprowadzała 40-osobowa brygada wspólnie z Vorarbeiterem i starszym kontrolerem. Używali specjalnie zaprojektowanych przezroczystych pojemników, które były prześwietlane z dołu i z góry. Kiedy

na nich patrzyłem, zawsze przypominał mi się znany niemiecki film o fałszerzach pieniędzy, *Dr Mabuse*.

Gotowe banknoty były dzielone na pięć kategorii: 1. klasy, 2. klasy, 3. klasy, odpady i na koniec zupełnie bezużyteczne. 3. klasa była jeszcze na tyle dobra, że mogła być puszczana w obieg. W zasadzie większość banknotów należała do tej klasy. Rzadko klasyfikowano jakiś banknot do 1. lub 2. klasy. Coś takiego oznaczało wzięcie na siebie zbyt dużej odpowiedzialności. Sortowacze z zasady odrzucali 75 procent banknotów. Starszy kontroler kolejne 5–10 procent i ze 100 banknotów zostawało około 15, które uznano za odpowiednie do puszczenia w obieg. Banknoty uznane za „nienadające się do obiegu” były rejestrowane, zawijane w paczki i pakowane do skrzyń.

Dobre banknoty przekazywano do brygady „postarzającej” papier. Jej zadaniem było spowodowanie, żeby wyglądały jak używane. Składano je, gneciono, przekłuwano spinaczami, którymi zwyczajowo spinali je Anglicy. Banknot oznaczony wcześniejszą datą produkcji miał odpowiednio więcej nakłuć niż banknot z datą o rok późniejszą.

Po zakończeniu tych wszystkich zabiegów banknoty zbierano ponownie i łączono w zwitki, przy czym starano się, żeby w jednym znalazły się banknoty o różnych oficjalnych datach produkcji, co miało dodatkowo je uwiarygodniać.

Kiedy wszystko było gotowe, przychodziła pora na dodatkowy sprawdzian „autentyczności”. Między banknoty podrobione wkładano oryginalne, a zadaniem brygady kontrolnej było je odnaleźć. Podrobki były tak dobrej jakości, że rzadko im się to udawało.

Podrabialiśmy też pewne ilości waluty jugosłowiańskiej, a w czasie ostatnich sześciu miesięcy pracy rozpoczęliśmy przygotowania do produkcji banknotów amerykańskich o nominałach 50 i 100 dolarów. Żeby je dobrze

podrobić, trzeba było dużo czasu i w końcu było już na to za późno.

Drukowaliśmy również fałszywe dokumenty na użytek agentury niemieckiej oraz miliony angielskich znaczków pocztowych. Jedna z serii znaczków przedstawiała twarz Stalina z umieszczoną ponad nią gwiazdą Dawida. Prawdopodobnie zostały one wykonane na potrzeby propagandy.

Czasami zdarzało się, że brakowało papieru. Mogło upłynąć sporo czasu, zanim ściągnięto nową dostawę. Odczuwaliśmy wtedy niepokój. Baliśmy się, że staniami się niepotrzebni. Szczególnie niepokojący moment nastąpił, gdy pewnego razu przyszedł z Berlina rozkaz wstrzymania produkcji. Część naszych podrobionych banknotów została wykryta. Wszystkich nas nurtowała wówczas jedna myśl – że nasz warsztat zostanie zlikwidowany, a my zostaniemy uznani za zbytecznych. Żydzi, którzy pracowali dla nazistów, dobrze znali słowo „zbyteczny”, ale dzięki Bogu w naszym wypadku druk został wstrzymany tylko na krótki okres. Kiedy ponownie przystąpiliśmy do pracy, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

SABOTAŻ

Z zasady pracowaliśmy tak wolno, jak to tylko było możliwe. Jako wymówkę mieliśmy fakt, że nasza praca wymagała wyjątkowej precyzji i nie dało się jej przyspieszyć. Wiele razy odrzucano jako braki banknoty, które nie były wcale gorsze od tych zakwalifikowanych do puszczenia w obieg. W ten sposób staraliśmy się jak najbardziej ograniczyć strumień pieniędzy płynący do agentów niemieckich. Do 20 lipca 1944 roku pracowaliśmy na dwie zmiany po osiem godzin każda z wyjątkiem niedzieli, która była wolna od pracy. Od tego dnia wprowadzono zmiany

10-godzinne, a wolne niedziele zostały częściowo zlikwidowane. W odpowiedzi zaczęliśmy ograniczać wydajność pracy i w ciągu 10 godzin produkowaliśmy mniej banknotów niż dotychczas w ciągu 8 godzin.

ŻYCIE W KLATCE

Sturmbannführer Krüger był odpowiednim człowiekiem na zajmowanym przez siebie stanowisku. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że członkowie żydowskiego komanda, wykonującego tak poważną robotę dla III Rzeszy, mogą być bardzo wydajni, pod warunkiem że będą traktowani lepiej niż pozostali więźniowie. W związku z tym reżim naszej pracy i życia był stosunkowo łagodny. W zasadzie nigdy nie czuliśmy się naprawdę wyczerpani.

Praca nie była fizycznie męcząca, a warsztat był dobrze ogrzany. Nie było czegoś takiego jak wystawianie przed świtem godzinami na zimnie. Nie było wielokilometrych marszów do i z pracy. Dostawaliśmy tyle samo jedzenia co więźniowie aryjscy i nigdy nie okradał nas z niego kapo. Porcje chleba i innych artykułów były wystarczające, żeby nie odczuwać głodu. Na dodatek 50 członków naszego komanda było Żydami tylko w połowie i mieli na wolności żony lub rodziców, którzy co tydzień przesyłali im paczki żywnościowe. Były one rozdzielane między nas wszystkich.

Co dwa miesiące mieliśmy prawo napisania listu zawierającego do 25 słów. Pisaliśmy do Żydów i pół-Żydów z Pragi. W tym czasie Żydzi prasy byli jeszcze na wolności i możliwość wspomżenia nas sprawiała im wielką radość. Przesyłali nam po kilka kilogramów chleba, trochę herbatników, cebuli i jakieś drobiazgi. Byliśmy naprawdę wdzięczni tym wspaniałym Żydom praskim. Dali z siebie

w tych strasznych czasach wszystko, co najlepsze, i w znacznej mierze wspomogli nasze przetrwanie.

Standardy higieniczne były u nas lepsze niż w innych częściach obozu. Co tydzień otrzymywaliśmy świeżą bieliznę, czystą koszulę i nowy ręcznik. Każdy z nas miał słomianą poduszkę i spał na osobnej drewnianej pryczy, przykryty przynajmniej dwoma kocami. Niektórzy starsi więźniowie mieli nawet trzy koce. Mieliśmy dostęp do bieżącej wody i czystych toalet. Dwa razy w tygodniu goliliśmy się, a w niedzielę rano braliśmy kąpiel. Łazienki zawsze były czyste. Zanim udaliśmy się do kąpieli, ustawiano nas w szeregu i przeszukiwano, na wypadek gdybyśmy wynosili jakieś dokumenty. Po kąpieli na nowo prowadzono nas do naszej klatki.

Jeżeli ktoś z nas zachorował, był zabierany przez strażnika na wizytę do szpitala obozowego. Pacjent nie mógł komunikować się z nikim oprócz lekarza, któremu mógł mówić tylko o swoich przypadłościach. Jeżeli pacjent był poważniej chory, nie pozwalano mu pozostać w szpitalu. Był leczony przez osobnego lekarza na bloku 19.

W czasie 30 miesięcy istnienia naszego komanda sześciu poważnie chorych pacjentów zostało zabranych do szpitala obozowego, gdzie zrobiono im uśmiercający w sekundę zastrzyk z benzyny. Kilku innych zmarło w barakach. W Sachsenhausen straciliśmy jednego z białostockich Żydów. Ajzak Sukiennik, mający jedynie 23 lata, został zastrzelony w styczniu 1945 roku, ponieważ znajdował się w ostatniej fazie gruźlicy.

W czasie pracy cały czas słuchaliśmy radia niemieckiego. Pozwalano nam słuchać oficjalnych doniesień niemieckich z frontu. Spikerem był generał lejtnant Kurt Dittmar. O wydarzeniach relacjonowanych w radio rozmawialiśmy nocą. Czasami nam się poszczęściło i zdołaliśmy usłyszeć również audycję brytyjską. Dawały nam one trochę nadziei.

NAJLEPSZY CZAS

Najlepsze czasy zaczęły się, kiedy usłyszeliśmy komunikat radiowy: „Uwaga, uwaga! Zmasowany atak na południowo-zachodnie Niemcy!”. I wkrótce potem znowu: „Uwaga, uwaga! Ciężkie naloty na Hanower i Brunswik!”. Mijało kilka chwil i bezpośrednio nad nami słyszeliśmy szum czterosilnikowych amerykańskich bombowców. Syreny alarmu lotniczego zaczynały wyc nad całym obozem koncentracyjnym w Sachsenhausen.

21 czerwca 1944 roku byliśmy świadkami gigantycznego nalotu 2000 amerykańskich bombowców. Trwał on sześć godzin. Po tym jak deszcz bomb spadł na Berlin, radio niemieckie podało, że samoloty poleciały dalej w kierunku Rosji. Potem dowiedzieliśmy się, że wylądowały na lotniskach w pobliżu Połtawy na Ukrainie.

Dwa dni potem Wehrmacht ogłosił, że w przeddzień rano armia sowiecka rozpoczęła od dawna przez nas oczekiwaną letnią ofensywę na linii od Orszy do Witebska. Wielki nalot na Berlin zapowiadał tę właśnie ofensywę. 2000 amerykańskich bombowców udzieliło jej wsparcia, lądując za rosyjską linią frontu.

Tej samej nocy nad Berlinem przeleciały bombowce brytyjskie, bardzo szybko i bardzo wysoko! Musiało ich być 50 lub 60. Niemcy stawiali słaby opór. Rzadko oddawali salwy w kierunku samolotów. Niemiecka prasa ochrzciła je mianem „moskitów” i uznała za bardzo niebezpieczne.

Bombardowane było również Drezno. Spiker donosił o ogromnych liczbach samolotów, które widać było jednocześnie na niebie od francuskiej granicy na zachodzie aż do samego Drezna na wschodzie Niemiec. Całe Niemcy były atakowane z powietrza. Radio ostrzegało też o samolotach nurkujących, które nadlatywały nad linie kolejowe

i drogi tak nisko, że były w stanie ostrzeliwać dowolne obiekty na ziemi.

Czuliśmy się wyróżnieni możliwością bezpośredniego obserwowania tych wydarzeń. Dawały nam one siłę i odwagę, żeby nadal walczyć o życie.

O 5 po południu 20 lipca 1944 roku usłyszeliśmy niesamowite wieści. Ktoś dokonał zamachu na Hitlera. Słyszając to, byliśmy przeszczęśliwi. Mieliśmy nadzieję, że ten zamach może spowodować nasze uwolnienie, ale było to myślenie życzeniowe. Trochę później wydano następny komunikat, informujący o tym, że Hitler wyszedł bez szwanku. Potem, o 10 wieczorem, podano, że za dwie i pół godziny Hitler wygłosi przemówienie do narodu. Czekaliśmy, żeby usłyszeć głos największego mordercy w historii ludzkości. Mówił krótko, głosem lekko przyduszonym, ale zdążył mimo to wyrazić straszną nienawiść do Żydów. Wszelkie nadzieje na szybkie uwolnienie natychmiast się ulotniły.

W naszym bloku znajdowała się niewielka biblioteka. Były tam książki niemieckie, francuskie i czeskie, berlińskie gazety, szachy i inne gry. Po pracy chętnie korzystaliśmy z tych rozrywek, ale ponieważ strażnicy nie mogli ścierpieć, że oddajemy się rozrywce, często kazali nam wychodzić na dwór i brać udział w zajęciach fizycznych.

Strażnicy kazali nam też wystawiać sztuki teatralne w chrześcijańskie święta. Jedną wystawiliśmy w holu blokowym w czasie świąt Bożego Narodzenia. Byli wśród nas utalentowani aktorzy, śpiewacy, recytatorzy, dekoratorzy, skrzypkowie i harmoniści. To im kazano występować w przedstawieniach. My z kolei musieliśmy odgrywać publiczność. Przedstawienia udawały się nam nie gorzej niż w małych teatrzykach.

Pod koniec lata 1944 roku do obozu przyjechała ciężarówka, cała wypakowana dokumentami. Część z nich

pochodziła z konsulatów Rosji, Polski, Czechosłowacji i Jugosławii. Resztę stanowiły archiwa gestapo z Paryża, Brukseli, Antwerpii, Amsterdamu i Rotterdamu. Dokumenty te dotarły do nas w czasie, gdy akurat zabrakło papieru i nie mogliśmy produkować banknotów. Kazano nam je posegregować i spakować ponownie według kategorii. Niektóre wymagały czyszczenia przez naszych ekspertów. Do niektórych były przyklejone fotografie.

Zdjęcia te rozdzierały serca. Byli na nich żydowscy mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy zostali zamordowani przez nazistów. Praca ta tak nami wstrząsnęła, że nie mogliśmy jeden drugiemu spojrzeć w oczy. Sytuacja stała się jeszcze gorsza, kiedy niektórzy rozpoznali na zdjęciach swoich krewnych. Ktoś ujrzał na zdjęciu swojego brata, szwagierkę i ich dziecko.

Wilde, członek naszego komanda, dostał takiego rozstroju nerwowego, że zaczął rwać dokumenty. Dostrzegł to główny nadzorca Werner i przyskoczył do Wildego. Wilde stwierdził, że dalej już nie może milczeć. Nie będzie wciąż patrzył na fotografie martwych Żydów. Werner nie był przyzwyczajony do takich wybuchów ze strony Żydów. Kazał wyprowadzić Wildego z pokoju i wtrącić do aresztu. Kiedy Werner powrócił, spostrzegł, że wszyscy jesteśmy poruszeni, zawrócił więc i poszedł do Wildego. Ten z kolei opowiedział mu, jak jego cała rodzina została wymordowana, że został na świecie sam jak palec i kiedy patrzył na te wszystkie fotografie, załamał się i nie był w stanie dalej pracować. Werner nie chciał dodatkowo pogarszać sytuacji. Wypuścił więc Wildego i znalazł mu inne zajęcie.

Mniej więcej w tym samym czasie amerykański samolot zrzucił bombę na blok 17. Siła wybuchu była tak wielka, że okna w naszym bloku zadrżały, a dach zajął się ogniem. Ewakuowano nas na mały podwórzec na tyłach

bloku. Większość z nas stała jak osłupiała, ale kilku bardziej zaradnych rzuciło się do gaszenia. Skierowali węże na dach bloku 18 i zaczęli go polewać wodą. Płomień ugaszono i blok 19 ocalał.

Innym razem wyprowadzono nas na ten sam podwórzec, a strażnicy zaczęli przeszukiwać nasze baraki. Potem przyszli i zrewidowali nas samych. Zniknęła jakaś ilość banknotów 5-funtowych. Szukali tak przez kilka godzin, ale niczego nie znaleźli. Główny nadzorca ostrzegł nas, że zniknięcie banknotów może mieć poważne konsekwencje. Staliśmy już tak przez pół dnia i zaczynaliśmy się niepokoić. Nikt nie rozumiał, co się stało. „Dlaczego ktoś z nas miałby robić coś, co wystawiłoby wszystkich na niebezpieczeństwo?”. Pesymiści uważali, że to zmyślona historia, która ma dać nazistom wymówkę do zabicia nas. Optymiści z kolei twierdzili, że jest jeszcze dużo do roboty i że jesteśmy nazistom potrzebni. Staliśmy na podwórku do nocy, głodni, roztrzęsieni i zapomniani przez cały świat. W końcu powiedziano nam, żebyśmy wracali do baraków. Dalsze śledztwo rzuciło podejrzenie na niemieckiego Żyda. Powiedziano nam, że przyznał się do spalenia banknotów poprzedniej nocy. Nie wyjaśniono przyczyny jego postępuku. Naziści torturowali go przez kilka dni, a następnie zastrzelili. Nas oszczędzono. Mogło to tylko oznaczać, że naprawdę nas potrzebowali. W innym wypadku ich zwyczajowa zasada zbiorowej odpowiedzialności pociągnęłaby za sobą więcej ofiar.

W 1944 roku udało nam się nawet zorganizować obchody najświętszych żydowskich świąt Rosz ha-Szana i Jom Kipur. Powiniennem dodać, że nie było to pozbawione ryzyka. Zorganizowaliśmy wówczas tajemny minjan⁴⁴.

⁴⁴ Minjan – wymagana religiją minimalna liczba 10 uczestników wspólnych modłów (przyp. do wyd. ang.).